

Moje wspomnienia z przeżyć na Wołyniu do 1943r.

motto : "By świat nie uczynił z Polaków
zbrodniarzy narodu ukraińskiego!"

W chwili rozpoczęcia II-jej wojny światowej w 1939r. miałam 14 lat i byłam jednym z pięciorga dzieci w rodzinie tzw. zubożałej szlachty. Mieszkałam wraz z rodziną na futorze, słanowiającym resztkę majątku dziadka Edwarda Pózychowskiego. Nazwa futor Pózychowskiego widniała na niektórych szczegółowych mapach. (topograficznych)

Z nieistniejących już dokumentów wynikało, że pradziad mój w okresie panowania carskiej Rosji na kresach wschodnich Polski - przegrał w karty swój majątek w Uhorsku k. Krzemieńca na Wołyniu, a syn jego Edward dorabiał się gospodarki sam.

Był budowniczym młynów wodnych i ze swoich zarobków oraz częściowo z zaciągniętej pożyczki w Kasie Stefczyka - kupił około 40 ha ziemi, położonej o 7 km na wschód od miasteczka Biakozórka w powiecie krzemienieckim na Wołyniu.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej część ziemi dziadka znalazła się poza granicami polsko-radziecką i o nią przez okres 20 lat Rzeczypospolitej - rodzice moi sadyli się z rządem bez efektu, a pożyczkę w Kasie Stefczyka trzeba było spłacić.

Dziadkę mój Edward był dwukrotnie żonaty i miał 10 dzieci, w tym 7 synów, na których podzielono majątek, a kobietom sponacone ich część. Na tej niewielkiej i podzielonej resztkę z majątku dziadka gospodarowali dwaj bracia tj. mój ojciec Norbert i starszy od niego o 12 lat Bernard.

Futor nasz leżał na lekkim zboczu, a przeciwległe wzgórza stanowiły tereny ZSRR.

Futor otaczało wiele drzew szczególnie brzoza, lip i akacji oraz duży i stary (po dziadku) sad owocowy wiśni, czereśni, jabłoni i gruszy.

Przy samym domu rosły krzewy róż konfiturowych, jaśminu i bzów w różnych odleniach oraz maliny i leszczyny.

Jabłonie rosnące przy domu (papierówki, oliwy i rajskie) były wyższe od budynków i zimą zamiecie śnieżne zasypywały śniegiem dom z dachem do wysokości szczyłów koron drzew.

Rano trzeba było kopać tunele, by się wydostać z domu do budynków gospodarczych czy do pompy po wodę. Zawsze w sieni stały szufle i łopaty.

Do miasta, zanim śnieg nie stwardniał tak żeby można było jechać saniami jeździliśmy na nartach z ojcem na zmianę. Wieraz całymi tygodniami futor nasz był odcięty od świata przez wielometrowe zaspy śniegu, które całkowicie zmieniały ukształtowanie terenu i łatwo było zabłądzić i przejechać na teren ZSRR.

Do futoru z miasteczka prowadziła droga zwana traktem szczasnowieckim, wzdłuż linii telefonicznej do strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza a około 3km. istniała tylko wąska dróżka, prowadząca przez porażony teren pól.

Wiosenne toztopy i jesiennie słoty czyniły z tej żyznej i ciężkiej ziemi czarnoziemiu istne ciasto, z którego z trudem wyciągało się nogi bez butów, bo te zostawały w błocie.

Z tych powodów małe dzieci w mojej rodzinie uczyły się w domu i zdawały egzamin do starszych klas np. ja poszłam do III-jej klasy, a Walentyna do V-jej.

Latem była to kraina mlekiem i miodem płynąca. Owoców było tak dużo, że pozostawały nie zebrane na zimę wiśnie, porzeczki itp.

Była u nas taka jedna czereśnia wczesna, że w czerwcu przed końcem roku szkolnego wszystkie dzieci z mojej klasy na niej zbierały owoce, oprócz pestek pod drzewem, śladu zrywania na niej nie było. Dwoje dzieci trzymających się za ręce z trudem obejmowało pień tej czereśni.

Czasem my dzieci, zrywaliśmy wiśnie i sprzedawaliśmy w miasteczku po 1 groszu za szklankę. Nie było tam przed wojną zbytu na owoce.

Rodzice nasi nie byli ludźmi bogatymi, ale mądrymi i światłymi, mimo braku szkolnictwa polskiego na terenach, będących pod zaborem Rosji w okresie ich młodości.

Żyli bardzo zgodnie, tworząc tak rodzinną atmosferę, że nie raz mój brat Wacław i ja, kiedy ojciec nie mógł po nas wyjechać, pieszo-niemal biegliśmy z odległego o 70 km Krzemieńca do domu na święta. Rodzice byli nam wzorem szacunku, miłości i pracowitości. Byliśmy tam bardzo szczęśliwi, lecz to przywiązanie do futuru i więź rodzinna zgrubiło nas w 1943r. kiedy zamiast uciekać do Polski centralnej - daliśmy się w dniu 2.8.1943r. wymordować ukraińskim bandytom UPA.

Stryj Bernard miał żonę Aleksandrę z domu Wrbutowicz z Wileńszczyzny i 4-ro dzieci. Najstarszy ich syn Michał, po ukończeniu państwowego seminarium nauczycielskiego w Krzemieńcu pracował do września 1939r. jako nauczyciel na wsi poleskiej. Był on chorowity i kiedy we wrześniu 1939r., jako zmobilizowanego oficera (stopień miał z tyt. średniego wykształcenia) złapali go bolszewicy, to z braku odcisków na rękach - przy klasyfikacji jeńców w obozie w Szepetówce - zakwalifikowany na Sybir był w obozie w Kozielsku i zginął w Katyniu. Młodszy ich syn Hieronim usamodzielniał się wcześniej i opuścił futurę, kształcąc się zawodowo w Łomży. Tego - zakatowali na śmierć ukraińscy bandyci UPA w listopadzie 1943r. w Brzeżanach.

Starsza córka stryja Walentyna została z rodzicami i aktualnie mieszka w Warszawie, a najmłodsza córkę Emilię kształciła ciotka jej w Warszawie. Emilia po powrocie z przymusowych robót w Niemczech mieszka w Warszawie.

Matka moja Anna z domu Hornik pochodziła z Białokrynicy pow. krzemienieckiego i wywodziła się z czeskiej rodziny.

Moi rodzice i my ciężko pracowaliśmy w gospodarce, przy czym ojciec miał dużą pasiekę pszczoł, która na wołyńskich ziemiach, obfitujących w miododajne rośliny (gryka itp) dawała znaczne dochody, mimo iż wielkiego ponytu na miód tam nie było.

Rodzice kształcili dzieci, gdyż gospodarstwo nasze było za małe do dalszego podziału, przy czym naukę zawdzięczamy decyzjom mamy, która uważała, że człowiek wykształcony zawsze sobie poradzi.

Najstarszy mój brat Wacław, po ukończeniu państwowej szkoły średniej (seminarium nauczycielskie) w Krzemieńcu ukończył oficerską szkołę piechoty i w 1938r. został promowany na oficera. Wojna 1939r. zastała go w Piotrkowie Trybunalskim, a front w Częstochowie.

Moja siostra Jadwiga uczęszczała do gimnazjum spółdzielczego w Krzemieńcu a ja do wybuchu wojny w 1939r. ukończyłam jedną klasę gimnazjum im. Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu. Najstarsza moja siostra Weronika skończyła kurs pielęgniarski PCK, a najmłodszy brat Ryszard miał gospodarować na futurze.

Mieszkaliśmy około 70 km. od Krzemieńca i było nam bardzo ciężko w szkole średniej, gdyż opłacało się wtedy i za naukę i za internat. Brat mój nieraz spał pod mostem, gdy ojciec na czas nie zapłacił internatu. Brat udzielał też korepetycji, by móc skończyć szkołę.

Pamiętam jak w 1938r. kiedy zdałam do gimnazjum ojciec kupił mi nowe pantofle za 8zł. (zawsze nosiłam po starszych siostrach). Były to najtańsze pantofle firmy "Bata" (na tekturze) i na to ojciec musiał sprzedać 100kg zboża. Buty takie kupowało się do trumny.

Ja w gimnazjum otrzymałam częściowe stypendium za dobre wyniki w nauce.

Tak bardzo pragnęłam się uczyć i byłam taka dumna, że mogę chodzić do szkoły średniej. Marzyła mi się szkoła muzyczna i operetka. Za moją naukę płacił już mój brat Wacław, bo był po promocji.

Z jakąś niecierpliwością we wrześniu 1939r. snadowane już do wyjazdu do Krzemieńca oczekiwaliśmy z siostrą Jadwigą zawiadomienia o rozpoczęciu roku szkolnego, które już nigdy nie nadeszło.

Wypowiedzenie przez Niemcy wojny w dniu 1.9.1939r. i ich szybki marsz na wschód bardzo nas niepokoiły, lecz jeszcze bardziej zaczęliśmy bać się, słysząc nocami huk silników, dochodzący zza pagórka, od strony radzieckiej wsi Szczasnówka, odległej od futuru około 4km. Rodzice moi pamiętali z poprzedniej wojny jak wielokrotnie bolszewicy stawiali ich "k-ścienkie" (pod ścianą) i obrabowali z ostatniej bielizny. Dwudziestoletniemu wówczas stryjowi Kazimierzowi na oczach dziadka szablą

ścieli głowę.

Futor nasz leżał nad samym pasem granicy polsko-radzieckiej do 1939r., a pas ten szerokości około 10m. był stale bronowany i pilnowany przez patrole bolszewików, chodzących wzdłuż granicy z karabinami zakończonymi bagnętami. Pilnowali, by szpiegzy nie przekroczyli granicy ich "raju".

Z polskiej strony granicy strzegli żołnierze KOP ze strażniczy odległej od futoru o 1,5 km na zachód, której dowódca był plutonowy Błażej Durawa, oraz z wież obserwacyjnych, rozmieszczonych co parę km.

W promieniu 3 km. od futoru nie było żadnego osiedla ani gospodarstwa. Na zachód od futoru w odległości 5-7 km. znajdowały się gospodarstwa osadników wojskowych na tzw. Weteranówce, a na wschodzie na tzw. Dębnie mieszkali z dziada pradziada Kozubscy, Nienoczetowscy i rosjanie Siedielnik oraz bardzo biedny osadnik wojskowy Fabian Staniszewski.

Obok nas na futorze mieszkał sąsiad ukraińiec Fedosiuk z rodziną. Zabudowania jego stykały się niemal ze stodołą stryja Bernarda, a ogrody graniczyły ze sobą. Kiedyś ukraińcy ci pracowali w gospodarstwie dziadka. Ich syn Aleksander Fedosiuk był kolegą szkolnym mego starszego brata Wacława i razem skończyli w 1935/36 roku państwową szkołę średnią w Krzemieńcu.

Aleksander za wystąpienia nacjonalistyczne ukraińców w Zbarażu został w 1939/40r. wywieziony na Sybir, skąd na mocy porozumienia radzieckiego z gen. Sikorskim - podając się za polaka - powrócił na futor.

Był wczesny, szary świt 17 września 1939r. Zbudził nas szum i huk motorów dochodzący od wschodniej strony z terenów Rosji. Było ciemno. Nikt z nas nie wiedział o niemiecko-radzieckim pakcie z sierpnia 1939r. o rozbiórce Polski i myśleliśmy, że to wojska niemieckie przeszły już na tereny radzieckie.

Ojciec wyszedł na dwór i za chwilę wrócił przerażony i mówi: -dzieci, to już koniec z nami, to bolszewicy, bo słychać jak klną.

Stoją na całym wzgórzu.

O godzinie 5-ej rano padł strzał i cała chmara wojska radzieckiego ruszyła jak szarańcza polami na zachód, bez żadnych dróg czy traktów, lecz omijając futor.

Słychać było strzały od strony strażniczy KOP.

Tak się dopełnił kolejny rozbiór Polski..

Najnierw jechało trochę czołgów, następnie ciężarowe samochody z wojskiem i armatkami, a potem kawaleria i piechota.

To był obraz nędzy i rozpaczy! Małe koniki, a na nich zarośnięci i brudni ludzie o wyglądzie tatarów, bez butów, a tylko w kaloszach i owijaczach. Co piąty z nich miał karabin na parciwym nasku.

Około południa zajechał do nas na futor patrol radziecki z oficerem, który tracąc bagnętą w obudowę kierunku konnej sieczkarni zapytał:

-Ozto eto pulemiot?(co to karabin maszynowy?)

Ojciec był bardzo wystraszony i pokazał co to jest za urządzenie.

Oficer powiedział po rosyjsku: Wy nie bójcie się, my was oswobodzili.

Ojciec zapytał: od kogo nas oswobodziliście?, a on na to "Od wsiech swołocznej Mościckich i Piłsudskich, my ich wsiech pozbrasywali" ti. pozrzucali ich portrety w urzędach miast.

Ludność ukraińska w miasteczku, stanowiąca większość i biedniej si żydzi witali bolszewików chlebem i solą oraz bramami triumfalnymi. Niszczono w pierwszej kolejności bibliotekę, a książki polskie palono. Część z nich polacy wygrzebali i później pożyczaliśmy między sobą w Białoźórce i sąsiedniej wsi Mołotkowie.

Tak się skończyło moje szczęśliwe dzieciństwo i marzenia o nauce i przyszłości.

W parę dni po wkroczeniu wojsk radzieckich byłem z ojcem w miasteczku, kiedy pędzono jeńców polskich na wschód w kierunku wsi radzieckiej Szybenna - do Szepetówki.

Były tam kobiety i mężczyźni w różnym wieku, w mundurach i ubraniach cywilnych.

Szli pieszo, całą szerokością ulicy. Po bokach eskortując ich szli "bojow" uzbrojeni w karabiny i nie pozwolili nam nawet podejść do jeńców. Ludzie ci byli straszliwie zmęczeni. Poraz pierwszy widziałam ludzi śpiących w marszu. Byli głodni więc dzieci rzucały im bułki i chleb. Z urywków zdań dowiedzieliśmy się, że to byli Polacy, uciekinierzy przed Niemcami i pochodzili z centralnej Polski.

W naszym miasteczku sklepy, stanowiące własność Żydów były zamknięte, a zapasy szczególnie soli, hafty i mydła wyczerpały się. Nie było gdzie kupić obuwia ani odzieży, więc przerabiano z ojców i dziadka co się tylko nadawało.

Przyszła zima 1939/40r. i zaczęto wywozić Polaków na Sybir. W pierwszej kolejności wywieziono rodziny wojskowych, urzędników, nauczycieli, osadników wojskowych i chodzących w mundurach (rajowych, listonoszy, oraz tzw. kułaków).

Z osadników wojskowych pozostało w Białozórcie dwóch synów Bosakowskiego tj. mój kolega szkolny 14-letni Zbyszek i młodszy jego brat 12-letni Edmund, przebywający tam bez rodziców na wakacjach oraz wielodzietna rodzina bardzo biednego Fabiana Stanisławskiego, a także żona komendanta strażnicy KOP Durawowa. Miała ona małą córeczkę Janinę i sama była w ciąży. Zostały one tylko w ubraniu, gdyż zaraz po przejściu wojsk radzieckich Ukraińcy zrabowali ich mienie.

Siedzieliśmy na futorku spakowani na workach z sucharami chleba i czekaliśmy kiedy Ukraińcy podjadą saniami i rozkażą "sohiraj wieszcz" (zbieraj rzeczy), by w ciągu 15 minut zabrać nas i wywieźć na "białe niedzwiedzie".

Durawowa wzięli do siebie jedni z bogatszych gospodarzy w Białozórcie St. Strzyszkowscy, gdzie aż do wywiezienia jej w lutym 1940r. na Sybir mieszkała.

Stanisław Strzyszkowski, który był moim stryjem (moja babka i jego ojciec byli rodzeństwem) i chrzestnym ojcem, w grudniu 1939r. zabrał do siebie i zaopiekował się Zbyszkiem Bosakowskim i jego młodszym bratem Edmundem. Czasem bywaliśmy z ojcem u Strzyszkowskich, lecz jego żona nie dała się lubić. Właściwie żyliśmy odosobnieni na futorku w przyległości z rodziną Kozubskich i Nienoczętowskich.

Rosjanie słabiej strzegli przedwojennej granicy z Polską, więc wybrałam się w grudniu 1939r. wraz z młodszym 10-letnim bratem Rysiem na nartach do odległej o 4 km. radzieckiej wsi Szczenówka, by za jajka i masło wymienić w tamtejszej kooperatywie potrzebną nam sól, naftę i mydło, bo praliśmy już ługiem z porożu drzewnego.

Byłam wówczas mała, szczupła, a z warkoczami wyglądałam jak dziecko. Miałam na sobie szkolną bluzę, granatową z oksydowanymi guzikami i tam długo musiałam ludziom tłumaczyć, że to nie mundur organizacji, tylko ubiór szkolny.

W Szczenówce zastała nas śnieżycyca i musieliśmy przenocować. Przyjął nas najbogatszy człowiek we wsi, krawiec w kooperatywie. On pamiętał naszych rodziców z futorku i przyjął nas serdecznie. Kupił od nas nasze produkty a za te nieniadze kupiliśmy w kooperatywie potrzebne nam towary.

Bieda w tej wsi była straszna. Nigdzie chlewika, ani żywego inwentarza, nsa czy kota. W domu krawca, zamiast łóżka na białych w ziemię słupach leżało parę desek, a na nich słoma przykryta radnem. Nie było żadnej poduszki, kołdry czy koca. Tam spali gospodarze. My z ich dwojgiem dzieci siedzieliśmy na piecu chlebowym tzw. zapiecku, nasłuchując ze strachem wycia wichury. W piecu palono słomę i gotowano w specjalnych garnkach kolację. Na zapiecku było ciepło.

Byliśmy głodni i zziębnięci, ale tego co było na kolację nie dało się jeść. Były to całe buraki nastewne, bez żadnej okrasy, przyprawy i smaku. Zarówno w ich kooperatywach jak i domach nie było nic do jedzenia, ani mąki, kaszy, chleba czy ziemniaków - nie mówiąc o mięsie i wędlinach.

Później jeszcze kilka razy jeździłam z ojcem do sąsiedniej wsi Szybenny i do miast Jampola i Szenetówki. Wszędzie była bieda i głód. Kooperatywy niemal puste, a ludzie ubrani w bezbarwne, wypłowiałe drelichy, a zimą w wałowane "kufajki" i kalosze.